

Dni protestu i spacer warszawski

28 września 2013

200 tysięcy ludzi na ulicach robi wrażenie. Działa magia wielkich liczb. Dni protestu zakończone wielką demonstracją związkową 14 września w Warszawie okrzyknięto w wielu lewicowych kręgach ogromnym sukcesem pracowników. Czy rzeczywiście protest ten był tak istotny i może przyczynić się do zmian? Nie był bym tego taki pewny.

MOBILIZACJA?

Mobilizacja niemal wszystkich związków zawodowych, zarówno głównych central jak i mniejszych organizacji, może imponować. Wystarczy jednak spojrzeć na liczbę ich członków, aby zauważyć, że wcale tak imponującą nie była. OPZZ deklaruje że zrzesza 792 tysiące osób, Solidarność 680 tysięcy, natomiast Forum Związków Zawodowych 408 tysięcy. Oznacza to, że ogólnopolska mobilizacja zgromadziła tylko ułamek tej liczby ludzi na którą można było liczyć patrząc na to jak związki prężą muskuły.

Mobilizacja związana z dniami protestu nie była również tym, czego można było oczekiwać w sytuacji gdy władze tak jawnie niszczą Kodeks pracy i pod pozorem walki z kryzysem likwidują ośmiogodzinny dzień pracy. Jej forma była bardzo łagodna nawet jak na działania głównych central związkowych. Większość uczestników demonstracji przyjechała jak na wycieczkę, aby pogwizdać i trąbić w wuwuzele. Nawet przemówienia związkowych liderów, transmitowane na ustawionej przy trasie przemarszu ekranach były w związku z tym słabo słyszalne. O akcji w zakładach pracy czy strajku generalnym mówiono mało. Wprawdzie Jan Guz z OPZZ i Piotr Duda z Solidarności zapowiedzieli dalsze działania, jednak nie padły żadne konkretne zapowiedzi. Rząd z kolei już zapewnił, że nie przestraszy się takich

pokojowych protestów. Nawet gdyby na ulice wyszło nie 200 tysięcy ludzi, a pół miliona i tak nie przejęłoby to premiera Donalda Tuska. Dalej będzie realizował swoją antypracowniczą politykę. Kto bowiem obawiałby się nawet najbardziej masowego spaceru po mieście?

Większy popłoch wśród ludzi władzy wywołał niedawny strajk generalny na Śląsku, pomimo jego bardzo ograniczonego charakteru. Akcja strajkowa odpowiednio skoordynowana w różnych województwach i branżach jest w stanie sparaliżować działanie państwa, a także spowodować straty kapitalistów. Dlaczego nie sięgnąć po blokady dróg, strajki włoskie czy okupacje zakładów? Pytanie – czy obecnie związki zawodowe, okopane głównie w dużych firmach oraz sektorze państwowym są w stanie przeprowadzić takie działania idąc na ostry konflikt z władzą i pracodawcami, a także niemal całą klasą polityczną, z mainstreamową opozycją włącznie.

RADYKALIZACJA?

W niektórych entuzjastycznych komentarzach przewija się przekonanie, że związki zawodowe się radykalizują. Czy rzeczywiście? Już pojawiły się pierwsze rysy na owym, bardzo umiarkowanym, „radykalizmie”. Prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz wezwał do tego aby OPZZ wrócił do komisji trójstronnej. W dodatku stało się to bez jakichkolwiek wcześniejszych ustępstw ze strony rządu. Bogusław Ziętek, lider podobnie najbardziej radykalnego z dużych związków zawodowych – WZZ Sierpień '80 w ogóle nie poparł protestów, nie przeprowadzając w zamian żadnych radykalniejszych działań.

Miasteczko namiotowe, które w dniach 11-14 września działało przed Sejmem pokazało, że ze zrozumieniem postulatów ani radykalizmem związków zawodowych nie jest wcale tak dobrze jak byśmy tego oczekiwali. Związkowcy po raz kolejny zamiast dać głos ludziom z zakładów pracy, szeregowym pracownikom czekali na to co powiedzą eksperci. W dniu 13 września trwał festiwal wolnych wypowiedzi przedstawicieli różnych organizacji, mniej

lub bardziej związanych z socjalnymi postulatami (zwykle raczej mniej). Mieliśmy więc obronę praw ojców, walkę z pornografią, domorosłych wierszokletów oraz kluczowy punkt programu – przedsiębiorcę, który przekonywał, że wśród bezdomnych są byli przedsiębiorcy, których zniszczył ZUS przeplatając to odmienianym przez wszystkie przypadki „narodem”. Nikt nie zapytał pana przedsiębiorcy czy w swojej firmie pozwala działać związkowi zawodowemu. Pojawił się też przedstawiciel stowarzyszenia Marsz Niepodległości, zapraszający na marsz skrajnej prawicy. Pół biedy jeszcze z wypowiedziami radiomaryjnych dewotek, ale co robili tam ludzie otwarcie wrodoży pracownikom – nacjonaści i przedsiębiorcy? Można dojść do wniosku, że zapraszano każdego sprzeciwiającego się rządowi Donalda Tuska. W efekcie prospołeczne i pracownicze postulaty utonęły w potoku bełkotu, a forma hyde-parku uniemożliwiła na przykład międzyzwiązkową debatę czy dyskusję o kierunkach dalszego działania. Zabrakło też bardziej otwartego wyjścia do mieszkańców Warszawy – zaproszenia ich aby poznali pracownicze postulaty. Miasteczko przypominało, zwłaszcza poza momentami w których trwały debaty lub hyde-park, oblężoną twierdzę, w której część służb porządkowych wciąż obawiała się prowokacji na przykład pilnując aby na miejscu mogli przebywać tylko ludzie w związkowych kamizelkach.

Nie oznacza to, że protest oraz miasteczko namiotowe były całkowicie martwe, pozbawione sensu i podporządkowane kilku liderom. Sam pomysł rozstawienia namiotów przed parlamentem należy ocenić pozytywnie. Pojawiły się akcje takie jak odsłonięcie płyty upamiętniającej Andrzeja Filipiaka, bezrobotnego, który dokonał samospalenia przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Napawają one optymizmem, ponieważ pokazują, że w części środowisk pracowniczych istnieje świadomość iż walka toczy się nie tylko w obronie doraźnych postulatów, ale przeciwko szerszemu systemowi wyzysku. Za wcześnie jeszcze na jawnie klasowe i antykapitalistyczne hasła, jednak wielu pracowników już dziś nieświadomie, ale

krytykuje kapitalizm jako taki. Terminy takie jak „umowy śmieciowe” czy „wyzysk” jeszcze kilka lat temu uważano za „język ekstremistów”. Dziś stały się trwałym elementem opisu współczesnego kapitalizmu. Ważne było również to, że związkowcy odcięli się od zawodowych polityków. Jarosław Kaczyński musiał organizować pikietę związku zawodowego posłów PiS bez udziału organizacji pracowniczych. Rzecznik prasowy SLD przemykał natomiast przez miasteczko namiotowe jako „prywatna osoba” licząc, że zostanie zauważony przez kamery. Jeśli ta tendencja się utrzyma i związkowcy nie uwierzą w kartkę wyborczą, która rzekomo „jest bronią”, będzie to wielkim pozytywem wynikającym z dni protestu.

Protesty mogą być istotne również dlatego, że obalają mit polskiego społeczeństwa niezdolnego do mobilizacji. Może w ich wyniku demonstrowanie przestanie być czymś wstydliwym? W końcu przebywanie w tłumie osób popierających podobne postulaty daje poczucie siły i zwiększa pewność siebie.

UDZIAŁ IDEOWEJ LEWICY

Udział ideowej lewicy w dniach protestu nie był masowy, ale zauważalny. Materiały OZZ Inicjatywa Pracownicza oraz Związku Syndykalistów Polski rozchodziły się w dużych nakładach i spotykały z bardzo pozytywnym odbiorem. Padł mit oderwanych rzekomo od rzeczywistości „lewaków” bawiących się w „kulturowe wojenki”. Przekaz bloku antykapitalistycznego na demonstracji 14 września był jasny, propracowniczy. Blok był też jedną z grup wyróżniających się energią. Zamiast dąć w wuwuzele przez cały czas przemarszu skandował hasła, a także pomimo wszystkich niedociągnięć organizacyjnych odróżniał się tematycznymi transparentami i zwartością.

Najgorszym co można zrobić jest jednak popadanie w tryumfalizm. Dni protestu nie były żadnym ogromnym przełomem, a co najwyżej krokiem w dobrym kierunku. Po nich ponownie przychodzi czas na codzienną pracę w środowiskach pracowniczych, lokatorskich i innych. Samym udziałem w

demonstracji nie zdobywa się sympatii społeczeństwa. Trzeba ją pozyskiwać poprzez prowadzenie pracy u podstaw, a nie hurrarewolucyjne hasła. Jednocześnie warto przekonywać pracowników, że bez strajku generalnego i akcji bezpośrednich nie są w stanie obronić nawet już posiadanych praw. To trzeba jednak robić również w swoich miejscach pracy w rozmowach czy przy wsparciu konkretnych protestów.

Autor: Piotr Ciszewski

Źródło: [Lewica](#)